



Joanna Urban

część II z III

Sygnatura notacji: **N1053**

Data urodzenia: **30.04.1957 r.**

Data nagrania: **29.10.2015 r.**

Miejsce nagrania: **Biuro Senatu, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 99 min, część III: 73 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jeszcze chciałem zapytać o echa tego wydarzenia, no bo to jednak mówi o takim preludium do stanu [wojennego].

To było ewidentne takie preludium.

Czy [niezrozumiałe 00:00:21] wtedy?

No my sobie nie zdawaliśmy sprawy, że to potoczy się w takim kierunku, ale to był dla nas taki pierwszy namacalny sygnał, że naprawdę może być tak, że nikt się z nami nie będzie pieścił. To było pierwsze użycie siły, takie bezpośrednie, tak? Oni tam wpadli i rozgonili towarzystwo. Przedtem to te strajki studenckie tak się toczyły, wygasły, ale nie było takich sytuacji, żeby były rozbijane siłą. Wykształciła się takiego rodzaju wręcz kontrkultura taka strajkowa, to wszystko. Można sobie było przyjechać, bo ja pamiętam, że rzeczywiście z grupą młodopolaków - może grupa to za mocno powiedziane, nas chyba były dwie osoby, może trzy - przyjechaliśmy tutaj do Warszawy na Uniwersytet, bo chcieliśmy zobaczyć, jak wygląda strajk studencki, i tutaj po raz pierwszy zobaczyliśmy coś, co się nazywało „chińskim powielaczem”, co my potem powtórzyliśmy w trakcie strajku na IBL-u. Chiński powielacz polegał na tym, że w dużej sali siedzieli ludzie, bo jak wiadomo, Chińczyków jest dużo, i przepisywali ręcznie ulotki, i to był właśnie ten chiński powielacz, i to my wzięliśmy ze strajków warszawskich studentów.

Proszę opowiedzieć o tym piśmie bydgoskiej Solidarności.

No cóż, to było pismo chyba bardzo podobne do wielu innych, wtedy było mnóstwo tych różnych pism, nawet poszczególne Komisje Zakładowe, jeżeli tylko były na tyle liczne, że mogły sobie na to pozwolić, to wydawały własne pisma, i to znowu nie były jakieś, nie wiem, pisma, które się zajmują poważną publicystyką polityczną. Ponieważ Solidarność nie miała dostępu do środków masowej komunikacji, więc jakoś trzeba było kolportować informacje, w związku z tym tam podawane były informacje o tym, nie wiem, jak się budują struktury w różnych zakładach pracy, jak przebiegają wybory, bo Solidarność budowała się przecież od początku, były wybory Komisji Zakładowych, potem o represjach, były apele o, nie wiem, o płacenie składek, naprawdę to był taki codzienny sposób komunikowania się, to naprawdę nie była żadna wielka publicystyka.

To od początku. Pani się angażowała w wydawanie tego pisma, czy to nastąpiło w zasadzie już później?

Nie, to nastąpiło później. Tak naprawdę, to jeżeli chodzi o moje działania właśnie w Solidarności, to już tak jak mówiłam, ja byłam sobie szeregowym członkiem Solidarności, ponieważ ktoś z Zarządu Regionu zwrócił się do Komisji Zakładowej muzeum, wychodząc z założenia, że w muzeum to pracują ludzie, którzy znają się jakoś tam na archiwizacji, tak? Na archiwach, z prośbą o pomoc, że trzeba zacząć tworzyć archiwum i bibliotekę w Bydgoszczy, w Zarządzie Regionu, i ja między innymi przez jakiś tam czas biegałam do tego Zarządu Regionu i pomagałam w bibliotece - po prostu zakładaliśmy karty biblioteczne, nie wiem, ustawialiśmy książki na półkach i takie zwykłe rzeczy, które się wykonuje organizując bibliotekę, i właśnie dzięki temu mogłam sobie na to pozwolić, że jak się rozpoczął strajk studencki, to dostałam tyle książek. Normalnie z biblioteki nie dostaje się stu książek, tak? Na jedno wypożyczenie.

A samo pismo w jaki sposób było drukowane i dystrybuowane?

O ile dobrze pamiętam, to to było drukowane w Zarządzie Regionu. Chyba przez jakiś czas był sitodruk, tam pracownię sitodruku wtedy prowadził Gerard Lewandowski, zresztą świetny grafik, do tej pory można w zbiorach różnych muzeów spotkać bardzo dobre plakaty Solidarności autorstwa właśnie Gerarda Lewandowskiego.

A dystrybuowanie?

A dystrybuowanie plakatów, no to właśnie między innymi małolaty tym się zajmowały, przychodzili do Zarządu Regionu i zabieraliśmy te plakaty. Zresztą pierwsze moje zatrzymanie takie formalne to miało związek, żeśmy rozdystrybuowali plakaty. Nie pamiętam, jaka to była okazja, ale chyba 15 sierpnia, w każdym razie to na pewno był plakat z Piłsudskim, gdzie był taki cytat: „Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni źle”. Może nie jest to dokładny cytat, ale właśnie taki był plakat. I kiedy my kolportowaliśmy ten plakat, zostaliśmy zgarnięci z ulicy, zabrani - nas chyba tam wtedy były dwie albo trzy osoby - zostaliśmy zabrani na posterunek milicji. No, to było takie nieprzyjemne, bo to był pierwszy kontakt, gdzie człowiek został zgarnięty z ulicy, ale my jednak się czuliśmy bardzo pewnie, i mieliśmy rację, bo naprawdę, chyba po półgodzinie zjawił się bodajże Filek, członek Zarządu Regionu, który po prostu poświadczył, że my jesteśmy tutaj twardo zatrudniani, współpracujemy z Zarządkiem Regionu, jesteśmy kolporterami, dostaliśmy takie upoważnienia z Zarządu Regionu, on przedstawił, że one są formalne, jak najbardziej, i zostaliśmy wypuszczeni. Wiem, że nawet wtedy doszło do tego, że mi się udało sprzedać jeden plakat na tym ko-

misariacie, bo ja absolutnie nie pozwoliłam sobie tych plakatów zabrać, bo twierdziłam, że to jest własność związku i ja się muszę z tego rozliczyć, tak? Plakaty były drukowane i one były przeznaczone do takiego właśnie kolportażu ulicznego, ludzie po prostu kupowali te plakaty, i jeden z milicjantów kupił ten plakat.

A pismo „Protest”? Jak zmienił się profil tego pisma w stanie wojennym? Czy w ogóle się zmienił? Mówiła pani, że kontynuowaliście wydawanie.

No, mogę powiedzieć, że zmienił się zasadniczo. Już niestety nie można było zamieszczać informacji o tym, jak się budują i rozwijają struktury Solidarności w różnych zakładach, wtedy głównie to albo były informacje o represjach, były przekazywane informacje, kto został aresztowany, kto został internowany. Zresztą na samym początku to jeszcze nie było takie jasne rozróżnienie - na początku było tak, że jeśli ktoś nie wracał do domu przez jakiś czas, to uważało się, że został aresztowany, dopiero pojęcie „internowanych” zaczęło funkcjonować parę dni po rozpoczęciu stanu wojennego, no i też było trochę takiej, powiedzmy, publicystyki ku pokrzepieniu serc, takiej w stylu właśnie „Zima wasza, wiosna nasza”, „Nie możemy się dać złamać”, „Solidarność żyje”, „Musimy to jakoś przetrwać”, „W końcu jest nas 10 000 000, więc na pewno damy sobie radę”. Takie [hasła].

A jak w stanie wojennym wyglądał druk, bo to już było trochę trudniej?

To było trochę trudniej, ale kiedy ZOMO weszło do Zarządu Regionu w Bydgoszczy, nie znalazło jednego pomieszczenia. Na strychu była właśnie pracownia fotograficzna Gerarda i tam też była jedna - wtedy to był cud techniki - malutka Minolta, i ta Minolta została wyniesiona do Zarządu Regionu, i ta Minolta przez wiele miesięcy funkcjonowała, chociaż problem był z tonerem, no bo w końcu skończył się toner, a żeby funkcjonował powielacz, musi być... znaczy kserograf, bo to był malutki kserograf, musi być toner, i wtedy pamiętam, że studenci właśnie chemii z wykorzystaniem sadzy wymyślali jakieś zamienniki i to nawet działało. Co prawda nie było to najwyższej jakości i ten druk się łatwo rozmazywał, a potem to już były tylko ramki, tak? Sitodruk i pasta Komfort. Daje komfort drukowania.

Przejdźmy teraz może do stanu wojennego. Pani powiedziała o tym, że stan wojenny zastał panią w Gdańsku.

Tak.

No, ale proszę opowiedzieć, co pani robiła 13 grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku.

Wersja oficjalna była taka, że przebywałam w delegacji. Rzeczywiście formalnie delegację miałam, pojechałam na delegację do Muzeum Archeologicznego, gdyż właśnie na, bodajże, 10 grudnia, może na 11, był wyznaczony termin otwarcia wystawy w Muzeum Archeologicznym. To była wystawa poświęcona właśnie ceramice archeologicznej, i kiedy ja przebywałam na stażu, byłam zaangażowana właśnie w przygotowania tej wystawy, pracowaliśmy nad rekonstrukcją tejże właśnie ceramiki, która była wykorzystana na tej wystawie, i ludzie z muzeum byli na tyle mili, że po prostu mnie zaprosili. To była wersja oficjalna i to właśnie dawało mi alibi, a tak naprawdę to 12 grudnia były imieniny Aleksandra, czyli imieniny Olka Halla. I nie było wtedy w Gdańsku formalnego spotkania Rady Rzeczników

czy Rady Programowej RMP-u, ale wiadomo było, że wszyscy się będziemy usiłowali spotkać u Olka, i dlatego pojechałam do Gdańska. Mój pobyt w Gdańsku to był po prostu ciąg wręcz nieprawdopodobnych takich zbiegów okoliczności i różnych bardzo zabawnych przypadków. Przyjechałam do Gdańska, byłam w muzeum, wystawa została otwarta. Już wtedy za każdym razem, kiedy przyjeżdżałam do Gdańska, mieszkłam w pokojach gościnnych Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, GTN miał swoje pokoje gościnne. Pierwszy raz zamieszkałam tam właśnie dzięki uprzejmości ludzi z Muzeum Archeologicznego, którzy mi zamówili tam pokój, kiedy byłam na stażu, no i potem już się tak utarło, że już sama dzwoniłam i sobie zamawiałam tam pokój. To Gdańskie Towarzystwo Naukowe to było też niezwykle interesujące środowisko, miało swoją siedzibę na ulicy Podwale Staromiejskie, zresztą chyba, bodajże, do dzisiaj. Rewelacyjne miejsce, bo bardzo blisko centrum, a jednocześnie tak na uboczu, tuż przy właściwie stoczni nad kanałem Raduni. Miejsce po prostu idealne. Działy się tam różne rzeczy, między innymi drukowany tam był „Bratniak” oraz jeszcze parę różnych innych pism. I ja zatrzymałam się w tym GTN-ie, załatwiłam, co miałam do załatwienia w muzeum i czekałam na spotkanie u Olka Halla. Nie mogłam się spotkać wcześniej z młodopolakami, dlatego że wszyscy już siedzieli w stoczni, bo w stoczni obradowała Krajowa Komisja Porozumiewawcza, i pech chciał, że ja się strasznie źle zaczęłam czuć - po prostu tak mnie bolała głowa, że stwierdziłam, że nie jestem w stanie pójść do Olka Halla, nie ma takiej możliwości. Zadzwoiłam do Darka Kobzdeja, który był lekarzem, Darek Kobzdej udzielił mi telefonicznej porady lekarskiej, powiedział mi, w którym miejscu w GTN-ie jest apteczka, z której półki i jakiego koloru pigułki mam połknąć, i ja to po prostu wszystko zrobiłam, połknęłam te pigułki i poszłam spać, i oczywiście nie miałam zielonego pojęcia o tym, że w nocy rozpoczął się stan wojenny. Kilka osób, które uczestniczyło w spotkaniu u Olka Halla, zostało zwinionych z tegoż właśnie spotkania, sam Hall ocalał dlatego, że chciał jeszcze zamienić kilka słów z Darkiem Kobzdejem, który musiał iść jako lekarz do szpitala na dyżur i Olek postanowił go odprowadzić na przystanek, bodajże, tramwajowy, i kiedy szedł z Kobzdejem, po prostu zauważyli, że coś się dzieje i Olek już nie wrócił do siebie, no i dzięki temu nie został złapany tej pierwszej nocy, zresztą Hall w ogóle chyba, o ile pamiętam, nie został złapany, a ja sobie spokojnie spałam. Rano się obudziłam, nikogo w GTN-ie nie było, ja byłam tam sama. Co prawda zdziwiłam się, że nie przyszedł pracujący tam wówczas jako telefonista, bo tam była taka łącznica telefoniczna, to była taka łącznica polowa typu ŁP-10, gdzie się tam wtykało takie różne rzeczy, i tam właśnie był zatrudniony Tomek Zbierski, też oczywiście z Ruchu Młodej Polski. Nie przyszedł, to nie przyszedł, stwierdziłam, że poczekam, na pewno się ktoś pojawi, ale nikt nie przychodził. Chciałam zadzwonić do Halla - telefony nie działały, ale też mnie to nie zdziwiło, bo te telefony były w takim stanie, że one bardzo często nie działały, ale wcześniej już umówiłam się z Kobzdejem, że jeśli nie będę miała żadnych innych spotkań, zobowiązań, to wpadnę do Kobzdeja na Mariacką, i to miało być mniej więcej w godzinach południowych. No więc poszłam na tę Mariacką, przeszłam przez całe Stare Miasto, nadal nie mając zielonego pojęcia, że jest stan wojenny. Na Starym Mieście nic się nie działo. Weszłam do Kościoła Mariackiego, ale się spóźniłam. Niektórzy tam ludzie pociągali nawet nosem, ksiądz mówił, że właśnie jakieś straszne rzeczy [się dzieją], tutaj pocieszał, więc ja byłam głęboko przekonana, że weszłam na jakąś mszę żałobną, tak? Za kogoś, że jest to msza pogrzebowa, ja się po prostu spóźniłam. Nadal nie wiedziałam, że jest stan wojenny. Wyszłam z kościoła, poszłam na Mariacką i w momencie, kiedy położyłam palec na dzwonek, żeby zadzwonić do mieszkania, gdzie miałam się spotkać z Darkiem, po prostu ktoś mnie złapał za usta i wciągnął do mieszkania naprzeciwko. To byli sąsiedzi Darka, którzy powiedzieli: „Niech pani tam nie idzie, tam jest kocioł. Oni całą noc już tutaj czekają”, ale nadal nie powiedzieli mi, że jest stan wojenny, więc ja oczywiście im podziękowałam i byłam święcie przekonana, że to są rutynowe działania takie bezpieczeństwa przeciwko Ruchowi Młodej

Polski. Jak my się spotykaliśmy w różnych miastach, no to w różnych miastach bywało, że żeśmy się ganiłi z bezpieczeńką, czasami zwiedzaliśmy areszty w różnych miastach, więc naprawdę mi się wydawało, że się nic nadzwyczajnego nie dzieje. No, że był kocioł, no ale to wszystko, tak? Darek nie przyszedł, to znaczy, że nie został złapany. I poszłam. Postanowiłam pójść pod pomnik. Idę pod pomnik, a pod pomnikiem tak: czołg, Ania Walentynowicz na bramie i wystąpienie jak walkiria, tak? Że właśnie jest strajk i taki apel, żeby przynosić, nie wiem, żywność, żeby jakoś wspierać tych strajkujących stoczniowców, że stoczniowcy będą strajkowali, że się nie poddadzą tak łatwo, a ja miałam przy sobie właśnie kartki. Miałam dużo tych kartek, bo przywiozłam je między innymi po to, żeby oddać je Mirkowi Rybickiemu. Mirek Rybicki tutaj odpowiadał w Gdańsku za technikę w drukarni, i mi chodziło o uzyskanie papieru i próbowałam, zależało mi na tym, żeby... próbowaliśmy dorobić się własnego powielacza w Bydgoszczy mówiąc krótko, no ale to był dopiero początek drogi. Więc ja w tył zwrot, pobiegłam na ulicę Rajską do delikatesów, pani w delikatesach bardzo podejrzliwie na mnie patrzyła, kiedy wyjęłam taki właśnie wachlarzyk tych kartek i za wszystkie pieniądze, które miałam, zostawiłam sobie na bilet powrotny, kupiłam papierosy, bo miałam kartki. No i te papierosy zaniosiłam pod bramę stoczniową, oddałam tam stoczniowcom, ale nie wchodziłam do stoczni, bo zorientowałam się, że na bramie pojawił się taki wielki plakat z nazwiskami osób aresztowanych - wtedy jeszcze była używana nazwa „aresztowanie”. Ja tak popatrzyłam, to właściwie wszyscy znajomi, z którymi miałam zamiar spotkać się u Halla, wszyscy znajomi praktycznie figurowali na tej liście. Potem okazało się, że nie wszyscy zostali aresztowani, że między innymi Hall na przykład nie został zatrzymany, Kobzdej nie został zatrzymany, a oni wszyscy tam byli. Tam właśnie byli bracia Zbierscy, czyli Tomek zamiast wrócić, przyjść do GTN-u, to już wiedziałam, że jest aresztowany, więc wróciłam do tego GTN-u, już wiedziałam, co się dzieje, tylko nie wiedziałam, co mam z sobą zrobić, bo nie jeździły pociągi, nie mogłam wrócić do Bydgoszczy. Wiedziałam, że jeżeli nie wrócę w poniedziałek do pracy, to na pewno mnie wyrzucą z pracy, i wtedy bardzo mi pomógł dyrektor, ówczesny dyrektor Muzeum Archeologicznego, już nieżyjący chyba Leon Łuka - po prostu wybitny archeolog, wybitny naukowiec. On powiedział mi, że on jako dyrektor instytucji, gdzie ja przebywam formalnie na delegacji, tak? No bo formalnie miałam tę delegację, on mnie zatrzymuje w tym muzeum w trosce o moje bezpieczeństwo, tak? Bo dzieją się różne rzeczy, pociągi nie kursują i on napisze mi takie jakby usprawiedliwienie dla dyrektora muzeum w Bydgoszczy, i rzeczywiście to zrobił i to faktycznie uratowało mi wtedy w Bydgoszczy skórę, bo wyrzuciliby mnie z pracy. Tak że wróciłam do tego GTN-u, chwilę później przybiegł do GTN-u docent Zbierski - wtedy docent Zbierski, już nieżyjący, właśnie ojciec Tomka i Pawła Zbierskich, i powiedział mi: „Pani Joanno - stary akowiec - pani Joanno, mamy wojnę. Tutaj żona zapakowała mi dla pani [jedzenie]” i tutaj właśnie jakiś chlebaczek, jakieś konserwy takie podstawowe racje żywności przyniósł mi, i mówi: „Niech pani nie wraca, na razie niech pani tutaj mieszka. Musimy się zastanowić, co z panią zrobić”. Po pierwsze, wydarł kartki z książki meldunkowej, bo wtedy wprowadzili jakiś taki dziwny przepis, że można było przebywać w strefie przygranicznej chyba tylko czterdzieści osiem godzin, coś takiego było, i to tak miało działać, że ja byłam codziennie jakby od nowa wpisywana do tej [książki]. Byłam wpisywana, żeby GTN nie miał problemów, ale codziennie od nowa, tak jakby właśnie przyjechała, tak? No i stwierdziliśmy, że musimy przejrzeć różne dokumenty, bo w tym GTN-ie spotykał się na przykład Komitet Organizacyjny Obchodów 3 Maja, tam właśnie, nie wiem, Szczudłowski, Kobzdej, po wyjściu z więzienia tam ćwiczyli swoje wystąpienia, które potem były wygłaszane pod pomnikiem Sobieskiego, więc tam było mnóstwo różnej bibuły, różnych publikacji, materiałów przygotowanych do publikacji, no i Zbierski mówi: „Musimy to zniszczyć”, ale teraz nagle się okazało, że jesteśmy w instytucji, gdzie jest tylko centralne ogrzewanie, no to nie jest takie proste rozpałić w piecu od centralnego ogrzewania. W końcu

zeszliśmy na dół do kotłowni, rozpaliliśmy ognisko na podłodze, najwyczejniej w świecie w piwnicy na podłodze rozpaliliśmy ognisko i z docentem Zbierskim właśnie przez pół dnia siedziałam i darliśmy tam różne papiery i paliliśmy różne rzeczy. Potem doszłam do wniosku, że chwileczkę, przecież my ustaliliśmy punkt zborny, młodopolacy mają miejsce zbiórki na wypadek stanu wyjątkowego, takie właśnie jest, no i postanowiłam wyruszyć. To było gdzieś we Wrzeszczu, już w tej chwili nie pamiętam dokładnie, gdzie to było, ale oczywiście wędrowałam pieszo do tego Wrzeszcza, dlatego że... no właśnie nie pamiętam dlaczego, ale wędrowałam pieszo do tego Wrzeszcza i miałam właściwie pewność, że mam ogon, i po prostu dokonywałam jakichś naprawdę sztuk niesamowitych, wszystkie przejściowe bramy, które mi wcześniej pokazali, gdzieś biegałam po jakichś morenach, po tych lasach właśnie, żeby zgubić ten ogon, i w końcu wydawało mi się, że już jestem czysta, że już nie mam tego ogona. Zjawiłam się tam, gdzie się miałam zjawić i za chwilę wpada za mną strasznie zasapany facet, który wydaje mi się znajomy, ale to jednak nie jest Tomek Wołek - okazało się, że to był brat Wołka, zresztą dosyć do niego podobny, gdyż inaczej pewnie bym nie uwierzyła, że to jest brat. I trochę żeśmy poczekali, okazało się, że nikt więcej na miejsce zbiórki się nie stawił, ale tam właśnie znajdował się świeżo wydrukowany, to chyba był wtedy 26 [grudnia] numer „Bratniaka”, i my wtedy podzieliśmy ten nakład między siebie, bo może jeszcze nie mieliśmy takiego - może przynajmniej ja nie miałam takiego stanu świadomości, co się tak naprawdę dzieje, ale stwierdziłam, że nigdy w życiu nie, no przecież nie zostawimy tyle porządnej bibuły, tak? Więc miałam taką zieloną torbę, takiego jamnika, więc tyle, ile byłam w stanie unieść, zapakowałam tej bibuły, miałam jeszcze taką bibułę, którą wcześniej, jeszcze przed tym, zanim wybuchł stan wojenny, zanim ja się dowiedziałam, że jest stan wojenny, nabyłam w Zarządzie Regionu jakieś znaczki Solidarności, bo w Bydgoszczy ciągle był deficyt znaczków Solidarności, i to wszystko zapakowałam do tej torby, wróciłam do GTN-u, no ale w końcu trzeba było wrócić do Bydgoszczy. I kiedy pociągi już ruszyły wsiadłam do pociągu, oczywiście z tą bibułą, co nie było bardzo mądre, i pojechałam do Bydgoszczy, i tu się sprawdziło takie powiedzenie, że głupi to ma szczęście - otóż w pewnym momencie do tego pociągu wsiadło ZOMO. Wsiadło ZOMO i to był taki otwarty wagon, to nie były przedziały, tylko taki właśnie otwarty wagon - oni po prostu szli i legitymowali ludzi, i przeszukiwali im torby, i kiedy już dzieliła mnie od nich tylko dosłownie jedna ławka, pociąg nagle stanął i jeden zapytał drugiego, gdzie będzie następny przystanek, już nie pamiętam, gdzie to było, oni powiedzieli: „Może Laskowice, może coś innego”, a ten mówi: „A, to za daleko” i oni po prostu wysiedli. Tak to bym została zwinięta z tą bibułą od razu właściwie prawie, nie wiem, w trzeci dzień stanu wojennego, trzeci czy czwarty dzień stanu wojennego. Kiedy dotarłam do Bydgoszczy, wysiadłam na dworcu Bydgoszcz Główna, no i nie miałam dokąd pójść, bo przecież ja mieszkałam wtedy w IBL-u, w siedzibie NZS-u, a był stan wojenny, NZS został zdelegalizowany, więc próba udania się do siedziby NZS-u nie byłaby specjalnie jakoś rozsądna. Pamiętam, że pierwszą osobą znajomą, którą spotkałam, to był student budownictwa, to był Nigeryjczyk, który biegał po właśnie bydgoskim dworcu. Jak mnie zobaczył, mówi: „Joanna, co tu się dzieje? - mówi - Wszyscy siedzą - mówi - ale ja nie mogę się dowiedzieć, nikt mi nie chce powiedzieć, czy czarnych też będą zamykali. Czy ja mam uciekać, czy ja mam tu zostać?” i to było strasznie śmieszne. Tak.

Jak pani wróciła do Bydgoszczy, był to szósty dzień, tak? Mniej więcej stanu [wojennego].

Nie, trzeci-czwarty, bo 16 [grudnia] już byłam w Bydgoszczy. 16 [grudnia] byłam w Bydgoszczy, zapamiętałam to, bo 16 [grudnia] zostali zabici górnicy, tak? To pamiętam dobrze, że już byłam w Bydgoszczy, bo zresztą 16 [grudnia] przyszli smutni panowie do mnie do pracowni, do muzeum, żeby mnie zabrać. Wcześniej zabrali Zegarlińskiego,

czyli naszego przewodniczącego Komisji Zakładowej, tak zwanego Zegara, no i po kilkunastu godzinach „Zegara” wypuszczono, zabrano mnie. Zabrano mnie do siedziby chyba wtedy SB, to chyba bodajże było na ulicy Poniatowskiego w Bydgoszczy i wtedy bardzo panowie starali się skłonić mnie do podpisania takiej standardowej lojalki, tak? Ja absolutnie nie chciałam tego podpisać, wtedy panowie powiedzieli, że jeżeli mi się nie podoba to, co tu jest napisane, to mogę coś napisać od siebie, i powiedziałam: „Dobrze, mogę napisać, że nigdy nie działałam przeciwko interesom Polski. Nic więcej nie napiszę”, a oni mówili: „Nie, Polski Ludowej”. „Nie, nic więcej nie napiszę”, no i tak to się właśnie skończyło. Prawdę powiedziawszy, był taki moment, że myślałam, że w łeb tam dostanę, bo po prostu bardzo się upierałam, no ale mnie wypuścili, chociaż byłam przekonana, że mnie nie wypuszczą.

Jak długo panią przetrzymywali?

To było kilka godzin, to nie było nic takiego.

A samo aresztowanie też miało jakiś łagodny przebieg?

Nie, no po prostu przyszli po mnie do pracy, przewalili do góry nogami pracownię i zabrali mnie stamtąd.

Jak pani zaczęła się orientować w sytuacji w Bydgoszczy, znaczy, kto został aresztowany, ile to pani czasu zajęło?

Jak wróciłam z Gdańska, no ponieważ nie bardzo miałam gdzie pójść, to jedyne takie miejsce, gdzie wiedziałam, gdzie na pewno nie zostanę wyrzucona na ulicę, to poszłam do przyjaciółki swojej, poszłam do Magdy Leś, bo wiedziałam, że pani Maria Leś po prostu bardzo była taką osobą, która wiedziała, co te wszystkie małolatki, które kręcą się u niej po mieszkaniu, robią, ale jednak nie tylko to tolerowała, ale po prostu pomagała, no i pani Maria po prostu mnie zatrzymała i przez kilka pierwszych dni stanu wojennego korzystałam z gościny właśnie w mieszkaniu pani Marii Leś, i jak mnie wypuścili po tym zatrzymaniu 16 [grudnia], to też pojechałam do Magdy i pamiętam, że kiedy zadzwoniłam, otworzyła mi pani Maria i ona strasznie płakała. Ja wtedy bardzo się zdenerwowałam, bo nie wiedziałam, co się stało, i w taki sposób dowiedziałam się właśnie o „Wujku”, dowiedziałam się o górnikach, że zostali zabici górnicy, tak? Potem po kilku dniach przeniosłam się do państwa Maciejewskich, Ireny i Krzysztofa Maciejewskich. Oni byli związani z KPN-em, przynajmniej tak powszechnie się uważało, że oni byli związani z KPN-em, a Maciek Maciejewski, brat Krzyśka, był razem ze mną w Ruchu Młodej Polski, ale też chodził na spotkania KPN-u. Ja też czasami chodziłam, bo to właśnie tak działało, że chodziło się na rozmaite spotkania. I wtedy Maciejewscy mimo tego, że mieli małe dzieci, i że bardzo dobrze wiedzieli, że ja jestem spalona, mówiąc krótko, właśnie dlatego, że dawałam nazwisko, że to oznacza, że prędzej czy później bezpieka do nich przyjdzie, a jednak zdecydowali się dać mi ten kąt, i ja u nich mieszkałam przez kilka miesięcy.

Taki bilans strat w Bydgoszczy. Jak to wyglądało, kiedy pani zobaczyła, jak ogromne są straty, jeżeli chodzi o działania organizacji czy pani kolegów?

No właśnie u Maciejewskich bez przerwy się coś działo, tak? Przychodzili różni ludzie, przychodzili ludzie z dawnego

Zarządu Regionu, chociażby właśnie Joanna Schetyńska, właśnie Schetyńscy przychodzili, Halina Lewandowska, Gerard Lewandowski, Wiesia Kiełpińska. Pojawiali się tam też prawnicy, to był Maciek Lipowicz - tak, Maciej Lipowicz - Maciej, chyba tak, Lipowicz, przychodził też Krzysztof Sidorkiewicz i to nam pozwoliło... Gotowski, Krzysztof Gotowski mieszkał w tym samym bloku - Gotowski wtedy już był internowany, ale była jego żona, Ala, i to wszystko razem pozwoliło jakoś tak sobie wyrobić pogląd na to, co się dzieje, wiadomo było, że trzeba coś robić. Właśnie wtedy wpadliśmy na pomysł, że trzeba zacząć udawać, że Zarząd Regionu jak najbardziej funkcjonuje, może nie w tym samym składzie, ale że są to legalne władze Solidarności. Już 24 grudnia, i to jeszcze robiliśmy, znaczy to robiło to środowisko młodzieżowe, to robili młodopolacy, może to się wydawać głupie, może naiwne, ale ja uważam, że wtedy takie gesty były potrzebne - w noc Bożego Narodzenia po prostu wchodziliśmy do kościołów, tuż przed pasterką, a do jednego kościoła dokładnie w trakcie pasterki z wiązką biało-czerwonych kwiatów i składaliśmy je przy żłobku i był napis: „Boże, chroń Solidarność”. To nie było nic nadzwyczajnego, ale skutek był taki, że następnego dnia całe miasto huczało, tak? Wszyscy mówili: „A, coś jednak się dzieje”, „Solidarność jest”. Tak samo udało nam się wejść na szkielety tramwajowe - to było powtórzenie akcji powstańczej, była taka akcja. W Bydgoszczy było takie miejsce, właśnie przy owym słynnym rondzie 30-lecia, gdzie była taka mała budka, gdzie siedział ten pan, który miał dostęp do mikrofonów i tam były podawane komunikaty: a że awaria, a że tramwaj się spóźni, i to była sieć taka w całym mieście, na wszystkich przystankach tramwajowych, i my korzystając z tej sieci, po prostu nie zrobiliśmy nic wielkiego, nie wzywaliśmy narodu do powstania, tylko złożyliśmy życzenia świąteczne od Solidarności, i to też był taki niesamowity odzew, też ludzie o tym dyskutowali, tak samo jak rzucanie ulotek w kolejce, tak? Ludzie wtedy stali w kilometrowych kolejkach. To była bardzo prosta technika: ponieważ ludzie stali jeden za drugim, to jeżeli ktoś stanął tu i miał tutaj przy sobie pęk ulotek i nagle zrobił taki szybki gest do góry, to po prostu ulotki się sypały i tak naprawdę ludzie nie wiedzieli, kto te ulotki rzucił, ludzie się natychmiast rzucali, szybko ulotki zbierali i koniec, tak że to wydawać by się mogło, że to jest niebezpieczne, ale taki sposób rzucania wcale nie był zły. No, ale to były początki stanu wojennego, jeszcze nie było właściwie nic zorganizowane, tak że początkowo wszystkie pisemka, które zaczynały się pokazywać, właściwie były do siebie bardzo podobne. Niestety podawały głównie informacje o represjach, tak? O tym, kto gdzie siedzi, kto został zatrzymany. Potem się już pojawiły potwierdzenia składek, tak? Bo nie wiem, kto to pierwszy wpadł na ten pomysł, że jednak należy nadal zbierać składki i Komisje Zakładowe albo inni ludzie zbierali dalej składki, różne komisje dostawały różne kryptonimy, wplącało się tego i potem się okazywało, na przykład korona siedemdziesiąt pięć, tyle a tyle złotych zostało wpląconych, tak? I tak to zaczynało działać. To się odradzało bardzo powoli, przy czym ja, z racji swoich kontaktów, że miałam głównie jednak kontakty właśnie ze szkołami, z młodzieżą, ze studentami, a nie z zakładami pracy, poza swoim muzeum, to właśnie trudno było mi się jakoś tak wpasować w tę tak zwaną „dorosłą konspirę”, tylko właśnie zostałam w tym środowisku młodzieżowym, i tak naprawdę, to te pierwsze dni stanu wojennego to ja miałam, mój podstawowy problem polegał na pilnowaniu moich małolatów, żeby czasami nie przyszedł im do głowy pomysł właśnie, że tak powiem, bo były pomysły, że będziemy rozbijać milicjantów, prawda, będziemy napadać na patrole wojskowe. Nawet była jedna próba jakaś tam z materiałami wybuchowymi - właśnie chodziło o to, żeby dać im zajęcie. Naprawdę był jeden taki moment, nie wiem, czy pamiętacie słynny film, czy pan pamięta film Polańskiego „Dwaj ludzie z szafą” - i ja właśnie coś takiego zrobiłam. Czworo małolatów przez prawie cały dzień krążyło po Bydgoszczy z takim dużym kartonem, już nie pamiętam, co tam było, bodajże pusty papier, i właśnie oni mieli za zadanie gdzieś ten papier tam, nie wiem, przenieść, schować i tak dalej, i tak dalej, musieli to sami zorganizować, tylko dlatego, żeby był czas, żebyśmy my z Maćkiem mieli czas, żeby się zastanowić, co z nimi zrobić,

jak ich wykorzystać, żeby po prostu nie napytali sobie natychmiast biedy w trakcie tych pierwszych dni.

Mieli takie bojowe nastawienie?

Oczywiście, no Związek Wyzwolenia Narodowego, tak?

Miała pani jakieś wątpliwości po tym, jak pani wróciła już do Bydgoszczy, jakieś takie chwile słabości i zniechęcenia, czy może jakby podważenia sensu działania? Czy były jakieś takie chwile wątpliwości?

Nie, nie, absolutnie nie. Wiadomo było, zresztą to nawet nie była kwestia decyzji, tak? Jeżeli ktoś już przed stanem wojennym został uznany za element antysocjalistyczny, no to nie było już, zmiłuj się - to albo mógł po prostu się zeszmacić i podpisać lojalkę, i wtedy dawano mu spokój, albo wiadomo było, że jest osobą, która czy coś robi, czy nic nie robi i tak będzie traktowana jak wróg, no więc w pewnym sensie to była prosta sytuacja, bo to nie my musieliśmy dokonywać wyboru, tylko w pewnym sensie to ktoś za nas decydował, że to my jesteśmy wrogami i koniec. No to my się zaczęliśmy organizować wtedy.

No właśnie, przy tej pierwszej organizacji w pierwszych dniach stanu wojennego, w pierwszych tygodniach czuliście jakiś oddech właśnie Służb Bezpieczeństwa na sobie, jakieś zainteresowanie, czy tu raczej...

Nie, nie, dlatego, że wtedy chyba Służba Bezpieczeństwa, przynajmniej w Bydgoszczy, była bardziej zajęta poszukiwaniami i wyłapywaniem resztek struktur, formalnych struktur związku, tak? Działaczy związanych z Zarządem Regionu, tak? Jakoś nie mieli chyba jeszcze wtedy specjalnie pojęcia i nie byli zainteresowani wyłapywaniem małałatów.

A sam stan wojenny w Bydgoszczy, czy on wyglądał tak samo jak w dużych miastach? Czy było coś specyficznego?

No pewną specyfiką Bydgoszczy było to, że to jest miasto takie policyjno-wojskowe, tak? Siedziba Pomorskiego Okręgu Wojskowego, że tam nie było tak naprawdę takiego zakorzenionego środowiska właśnie opozycyjnego - mówię w tej chwili o tych środowiskach młodzieżowych - dlatego, że Bydgoszcz nie miała żadnej takiej porządnej, jak to uważano, uczelni, tak? Był uniwersytet w Toruniu, uniwersytet w Poznaniu, Uniwersytet Gdański, i jak ja zaczynałam pracować na przykład z młodzieżą licealną, no to oni wtedy byli w trzeciej albo czwartej klasie, tak? Stan wojenny, oni kończyli [liceum], zdawali maturę i się rozjeżdżali, i tak samo właśnie było ze studentami - studenci gdzieś nawet jak studiowali w Bydgoszczy, no to kończyli te studia i uciekali gdzie indziej, i za każdym razem ciągle to środowisko było takie, ono było ciągle w budowie, ciągle trzeba było zaczynać wszystko od początku, więc to było trudne środowisko. Myślę, że to był jeden też z powodów, dla których Hetzig też tak się trochę zniechęcił, że to ciągle takie jest wszystko.

Teraz jeszcze ja bym nawiązała właśnie do Hetziga. Pani wspominała, że on miał inne jakby spojrzenie na wydarzenia marcowe w Bydgoszczy. Czy mogłaby pani przybliżyć, jeżeli pani wie, o co chodziło?

To znaczy, nie wiem tego od samego Zdzisława, tak? Bo ja z nim rozmawiałam wtedy raz na schodach w Zarządzie

Regionu, gdzie on już praktycznie... nie wiem, czy jeszcze formalnie pracował wtedy w Zarządzie Regionu, czy już po prostu przyszedł tylko tak. Ja starałam się go przepytać jak najwięcej o jak najwięcej rzeczy związanych właśnie ze środowiskiem, które on budował, to powiedział mi, że w tej Bydgoszczy to się nigdy nic nie robi, że generalnie życzy mi powodzenia, ale to chyba nic tam się specjalnie nie uda zrobić. Ja go trochę starałam się dowiedzieć, jak przebiegało to spotkanie na Gołębiej, które on zorganizował, w którym uczestniczył Aram Rybicki, który właśnie specjalnie przyjechał z Gdańska, tak że nie rozmawialiśmy wtedy o marcu, a jakie poglądy Zdzisław miał na marzec, to właściwie dowiedziałam się już mnóstwo lat później. Kilka lat temu, nie wiem, czy to Zarząd Regionu Solidarności, może nawet we współpracy z IPN-em, jak ogłosili jakiś konkurs taki na temat bydgoskiego marca i Hetzig z Niemiec nadesłał swoją jakąś pracę, on dostał wtedy jakąś nagrodę, gdzie on po prostu podważa, jak gdyby w ogóle kwestionuje, że to wcale nie było żadnego pobicia, że wręcz to była jakaś taka, nie wiem, jakiś taki happening, że ci działacze udawali, ale ja nie wiem tego od niego, nigdy tej pracy nie czytałam, więc wolałabym na ten temat się nie wypowiadać, bo nie jestem dobrym źródłem.

Przypomniało mi się, oglądałem tak zwane materiały z Magdalenki, kiedy to właśnie Kiszczak pyta, już nie pamiętam, któregoś z opozycjonistów, czy rzeczywiście Rulewskiego pobili w Bydgoszczy? To jest zastanawiające, że to pytanie Kiszczak zadaje, więc że były tak jakby dwie wizje wydarzeń bydgoskich, no ale dobrze, to zostawmy.

Ale jednak to środowisko bydgoskie, to wydarzenie, znaczy te wydarzenia bydgoskie były cały czas bardzo ważne dla tego środowiska właśnie bydgoskiego, bo kiedy się zbliżała rocznica marcowa to my zaczęliśmy dążyć do tego, żeby jednak coś zrobić, tak? Coś zrobić. Generalnie chodziło nam o wywołanie strajku i nawet były przygotowane ulotki i te ulotki zostały rozrzucone przed kilkoma zakładami pracy, ale bodajże 17 marca - tak, chyba 17 marca - właśnie była w Bydgoszczy taka duża fala aresztowań. To były takie zatrzymania prewencyjne, one nie dla wszystkich się kończyły po czterdziestu ośmiu godzinach - część ludzi po prostu została zatrzymana i właśnie wtedy te zatrzymania dotyczyły kilkoro tych ludzi z tego mojego środowiska, tak?

Działalność w podziemiu w stanie wojennym. Wiadomo, troszeczkę inne zasady, ale proszę opowiedzieć o zasadach funkcjonowania i działania w podziemiu w stanie wojennym. W jaki sposób pani wiedziała, w jaki sposób trzeba teraz działać, na jakie tory się przestawić? Czy to była intuicja, czy jednak [wiedza]?

Trochę wiedzieliśmy, trochę intuicja, trochę metoda, prawda, prób i błędów. Jeszcze na pewno pomogła nam sama bezpieka: ich największym błędem było to, że nas zatrzymywali na czterdzieści osiem godzin przed stanem wojennym. Ja kiedy uczestniczyłam w spotkaniach właśnie Rady Rzeczników czy Rady Programowej Ruchu Młodej Polski, to w każdym mieście były jakieś łapanki i nas zatrzymywano w różnych miejscach i ja już miałam za sobą kilka takich zatrzymań, tak że ja już bardzo dobrze wiedziałam, co należy robić, tak? Że natychmiast po pierwsze, należy się awanturować - Kuroń nauczył wtedy nas, że dobrze jest nosić przy sobie takie małe karteczki z napisem „Zostałem - prawda, tam, nie wiem - zatrzymany i proszę przekazać informację” i był podany numer telefonu, tak? Wtedy telefony akurat na początku stanu wojennego nie działały, ale chodziło o samą metodę, tak? Że jak człowieka zgarniali z ulicy, to się to wyrzucało i zawsze informacja w jakiś sposób trafiała tam, gdzie powinna trafić. Tak naprawdę to był mój czas, kiedy bardzo ciężko pracowaliśmy, byliśmy zajęci po prostu od rana do nocy, no bo rano człowiek chodził przed

południe, normalnie chodziłam do pracy, no a potem były spotkania różne. Ponieważ nie działały telefony, więc mnóstwo czasu zajmowało nam komunikowanie się, tak? Trzeba było mnóstwo czasu [poświęcić] na pokonywanie różnych odległości. W tej chwili to jest żaden problem wysłać informację, prawda, z Warszawy do Inowrocławia, [wtedy] nie było internetu, nie było komputerów, wtedy trzeba było po prostu pojechać, i to jeszcze najlepiej nie bezpośrednim pociągiem, tylko najlepiej jakimś kombinowanym połączeniem, bo jak się jechało połączeniem bezpośrednim, to było niebezpieczeństwo, że akurat w tym pociągu może człowiek zostać złapany, natomiast jeżeli się ileś razy przesiadało, to ten poziom bezpieczeństwa wzrastał, ale jednocześnie wydłużył się czas podróży. Tak że to był czas naprawdę bardzo, bardzo takich wyczerpujących zajęć. Czasami zdarzały się różne śmieszne sytuacje, pamiętam, że ktoś kiedyś mnie umówił na jakimś [przystanku], grudzień, -20, a ktoś mnie umówił na jakimś przystanku, już nie pamiętam, autobusowym i miałam mieć jako znak rozpoznawczy słownik, tylko ten ktoś zapomniał - to chodziło o Wielki Słownik Języka Angielskiego - tylko ktoś zapomniał, który to miał być tom, i efekt był tego taki, że ja taskałam ze sobą kilka tomów tego słownika i siedziałam na przystanku. Śnieg padał, było zimno i oczywiście nikt do mnie nie podszedł, bo miał być jeden tom, a ponieważ ja nie wiedziałam który, więc tych tomów miałam kilka. Coś się nie zgadzało, kontakt nie został nawiązany, tak że zdarzały się różne zabawne sytuacje, ale tak naprawdę to nauczyliśmy się na własnych błędach. Bardzo się wtedy uaktywnili starzy akowcy - po pierwsze, system trójkowy wzięty od akowców, tak? Że człowiek nie powinien znać więcej, nie mieć więcej niż właśnie jedna osoba-dwa kontakty, żeby nie można było takim prostym łańcuszkiem zwijać ludzi jednych po drugich. Pamiętam, że przyjeżdżał wtedy też do Maciejewskich, myślę, że już nie żyje, z Inowrocławia, to chyba wtedy była jednoosobowa opozycja w Inowrocławiu - Wojciech Zieliński. On miał ksywkę „Partyzant”, też starszy człowiek, i on też się dzielił swoimi doświadczeniami. Prawnicy wtedy właśnie, chociażby Maciek Lipowicz, on wspierał, nie pamiętam, czy on był zatrudniony w Zarządzie Regionu, czy tylko wspierał w jakiś sposób Solidarność, że udzielał tam porad prawnych, to zorganizował takie spotkanie, było u Maciejewskich, gdzie właśnie przyszli ci różni młodzi ludzie i Maciek nam mówił, jak należy się zachować w przypadku aresztowania, że należy odmawiać zeznań, różne takie bardzo praktyczne rzeczy, no i jakoś te doświadczenia się budowały, gromadziły.

To pomagało działać w podziemiu. A z kim pani jeszcze współtworzyła tę strukturę podziemną?

Myślę, że używanie pojęcia „struktura” chyba nie oddaje dobrze tego, jak to wyglądało, bo struktura sugeruje, że to jest jakaś sieć, tak? Że to są komórki jakoś wzajemnie powiązane, a to wcale niekoniecznie, przynajmniej na początku, niekoniecznie tak było. To się opierało na grupach właściwie przyjaciół, tak? Ludzi, którzy mieli zaufanie i postanowili coś robić, coś robili, albo nie wiem, wszyscy starali się coś tam drukować, jakąś bibułę, i połączenia były głównie, tak jak byśmy dzisiaj powiedzieli, kanałami jednak prywatnymi. Na przykład potem się okazało, już po wielu latach, że były dwa kanały, którymi „Tygodnik Wojenny” trafiał do Bydgoszczy, tak? Ja o tym nie wiedziałam.

Znała pani jeden kanał, tak?

Sama przewoziłam to, więc tak. A o tym drugim kanale dowiedziałam się naprawdę dopiero już wiele lat po stanie wojennym, dlatego że ludzie na własną rękę szukali też powiązań, kontaktów w innych regionach i ktoś znalazł kontakt z „Tygodnikiem Wojennym” właśnie przez Toruń, my mieliśmy bezpośrednio z Bydgoszczy do Warszawy, no

i tak to działało, więc tutaj te struktury, to one się budowały naprawdę bardzo, bardzo długo, a wiadomo, że to się gromadziło też wokół kościołów, tak? Młodzież się gromadziła wokół albo oaz, albo duszpasterstw akademickich. Jak już zaczęli wychodzić pierwsi ludzie z internowania, to powstawały duszpasterstwa byłych internowanych, były każdego trzynastego, nie wiem, msze za internowanych, za aresztowanych i tak dalej, i to powodowało, że budowało się takie środowisko, które z jednej strony prowadziło taką jawną działalność samopomocową, ale też tak naprawdę większość z tych ludzi jednocześnie była zaangażowana w jakieś działania niejawne. Tak działali przecież Pastuszewscy, Stefan i Broniek Pastuszewscy właśnie w Bydgoszczy, tak że może właśnie, nie wiem, słowo „struktura” to jak na tamten etap to chyba jednak...

Chyba tak troszeczkę na wyrost go użyłem, ale to też jako w takim kontekście, że ta podziemna działalność jakby w skali kraju, ona już, można powiedzieć, mimo że była taką inicjatywą jednak oddolną i powiązaną, osoby, które działały w regionach, to jednak w jakiś sposób one gdzieś, można powiedzieć, że tworzyły te rzędy struktur, tak?

Tak, żyła sobie własnym życiem, no chociażby skończył się strajk studencki, tak? Rozpoczął się stan wojenny, ale tam przecież zostały te wszystkie książki, które ja wypożyczyłam z Zarządu Regionu i mimo tego, że do tych pomieszczeń NZS-u też tam weszło ZOMO, te pomieszczenia zostały zapieczętowane, to mimo wszystko udało nam się zrobić akcję - to była akcja z wychodzeniem przez okna - że większość tych książek została wyniesiona. Skoro te książki zostały wyniesione, no to zostały schowane, a jak zostały schowane, to nie po to, żeby leżały, tylko po to, żeby ludzie je dalej czytali, no i w ten sposób powstała taka po prostu latająca biblioteka. Ta biblioteka nigdy nie wpadła, tutaj bardzo dużo pomagali ludzie z Muzeum, bo te książki zostały zaniezione do Muzeum, zostały ukryte wśród księgozbiorów muzealnych - tam między innymi pani Urszula Siermińska bardzo była w to zaangażowana - i początkowo to działało tak, że ludzie z Muzeum te książki pożyczali, ale potem doszliśmy do wniosku, że to jest za blisko, za krótko jest, że jednak to trzeba trochę odsunąć od tego miejsca, gdzie te książki są schowane, i to działało w taki sposób, że ludzie z Muzeum wyszukiwali osoby, do których mieli zaufanie, tym osobom była wypożyczana część księgozbioru - to nie była bardzo duża część, to zawsze było około, powiedzmy, dziesięciu pozycji - i ta osoba z kolei wypożyczała te dziesięć książek w kręgu swoich znajomych. Jak już książki zostały wyczytane, przynosiła je z powrotem do Muzeum, dostawała, znaczy oddawała tej osobie kontaktowej, ta osoba je przynosiła do Muzeum, książki były wymieniane na inne i tak to działało. Raz mieliśmy taką sytuację, że myślałam, że biblioteka wpadła, bo pojedyncze książki czasami były łapane w trakcie różnych rewizji, i kiedyś zdarzyła się taka sytuacja, że chyba taka starsza pani, już emerytowana nauczycielka, taka bardzo właśnie porządna, bibliotekarka, postanowiła te książki owinąć, i tę część, którą ona dostała, owinęła wszystkie w taki sam papier i to był jakiś papier w charakterystyczny wzorek, i chyba dwie albo trzy książki w taki sam sposób owinięte wpadły w różnych mieszkaniach, ale mimo to to nie wpadło dalej, nie posunął się dalej, oni jakoś tego nie skojarzyli.

Latająca biblioteka to jest pani pomysł?

No tak, no bo skoro były książki, no to...

Trzeba było coś z tym zrobić.

...coś trzeba było z tym zrobić.

A więc te wszystkie działania, o których pani opowiada, pewnie nie byłyby możliwe, gdyby nie takie jakieś zaufanie do ludzi wzajemne, tak?

To była podstawa, to była absolutnie podstawa. Naprawdę, bez takiego zaufania to nic by się nie udało zrobić. Jednak podziemie, powiedziałabym, że w przeciwieństwie do tego prawdziwego podziemia wojennego, opierało się na bezpośredniej znajomości, tak? Rzadko kiedy tak naprawdę coś funkcjonowało tylko na hasło, na ogół to było tak, że nawet jak człowiek szedł i gdzieś tam meldował jakieś hasło, to znał osobę, z którą się spotykał. Próby takie zorganizowania się według takich właśnie ścisłych konspiracyjnych zasad nie zawsze kończyły się powodzeniem, jednak tutaj to zaufanie było tym takim najważniejszym czynnikiem.

Wspominała pani o „Tygodniku Wojennym”. W pani przypadku skąd pani miała ten kontakt?

Historia jest dłuższa, dlatego że praktycznie na początku prawie stanu wojennego, to był koniec stycznia, czyli zaledwie półtora miesiąca stanu wojennego, ja zostałam pobita przez tak zwanych „nieznanych sprawców”. Kilka miesięcy później zostałam też aresztowana, trochę siedziałam, i kiedy wróciłam z więzienia, to okazało się, że jednak skutki tego pobicia były poważniejsze, niż początkowo się wydawało i wylądowałam w Gdańskiej Akademii Medycznej - okazało się, że mam odbitą nerkę. I tam już funkcjonowało też takie środowisko młodych lekarzy, opozycyjnych lekarzy. Na tym oddziale, na którym ja leżałam, też było bodajże dwóch czy trzech chłopaków, którzy wrócili z internowania, jeden chyba nawet jeszcze miał status nieinternowanego, nawet tam jeszcze chyba jakieś zomki siedziały na korytarzu, i w tym szpitalu też po prostu działy się różne dziwne rzeczy. Tam w szpitalu pierwszy raz spotkałam Sławka Majewskiego i kontakt z „Tygodnikiem Wojennym” to był kontakt, który złapał Sławek, i to przez Sławka - po prostu ja razem ze Sławkiem przez kilka lat raz w tygodniu przyjeżdżaliśmy do Warszawy, zgłaszaliśmy się do nieistniejącej już obecnie kawiarni tutaj przy placu Trzech Krzyży, to była Kawiarnia Wilanowska, zamawialiśmy ciasteczko ponczowe i wtedy zjawiał się ktoś, dostawialiśmy diapozytywy „Tygodnika Wojennego” i wracaliśmy z nimi do Bydgoszczy. Oczywiście żeby nie chodzić po mieście z diapami najczęściej to były nie tylko diapozytywy, bo przy okazji zabieraliśmy różne inne rzeczy - książki „Nowej”, tam czasami się zdarzało, że jakieś właśnie chemikalia, które były potrzebne do sitodruku, no i żeby nie łązić z tym trefnym towarem, to chodziliśmy do kina, i chodziliśmy do Kina „Skarpa”, tylko wtedy repertuar w kinie nie był zmieniany zbyt często i ja chyba, nie wiem, z osiemnaście, może dziewiętnaście razy, byliśmy na „E.T.”. Tak że zamiast właśnie chodzić po mieście z tą torbą, to szliśmy do „Skarpy”, oglądaliśmy „E.T.”, potem udawaliśmy się na dworzec, wsiedaliśmy w pociąg, wracaliśmy do Bydgoszczy i potem dalej już to, co się działo z diapozytywami to już Sławek [wiedział], ale one trafiły do Gerarda Lewandowskiego.

To jest taka historia jak z konspiracji wojennej - kawiarnia, hasło, przekazanie przedmiotów i tak dalej, to są takie typowe [działania].

Tak. Była jeszcze jedna taka, można powiedzieć, zabawna historia, kiedy któryś raz przyjechaliśmy do Warszawy.

Wtedy w dobrym tonie było nieoglądanie telewizji, nieczytanie gazet, i nie mieliśmy zielonego pojęcia, że w tym dniu z oficjalną wizytą w Warszawie przebywał Kim Ir Sen. Kim Ir Sen się podobno bał okropnie latać i on z Czechosłowacji przyjechał pociągiem i miał też odjechać pociągiem. Dworzec Centralny był tak obstawiony, był tak totalny kocioł, po prostu rewidowano absolutnie wszystkie osoby, które wchodziły na Dworzec. To zaczynało się już przed Dworcem, to był taki szpaler właśnie zomowców i w momencie, kiedy człowiek już tam wszedł, już właściwie nie mógł się cofnąć, bo każda osoba, która próbowała się wycofać, natychmiast była wyłapywana, tam kręcili się jacyś tajniacy, tak? A my tutaj torba pełna bibułki, diapozytywy i wtedy nawet chyba mieliśmy jakieś chemikalia, gdzie po prostu można się było spokojnie było załapać, że to są materiały wybuchowe. To nie były materiały wybuchowe, ale można było wszystko ludziom wtedy wmówić, no i sytuacja się stała taka naprawdę dziwna, bo tutaj ludzie stoją w takiej długiej kolejce do przeszukania, z tyłu cała stoi buda taka, tutaj ci zomowcy wszystkich przeszukują, jest przed nami jeszcze chyba tylko dwie osoby i nagle zaczynają przeszukiwać kobietę - kobieta tak stoi i nagle jest takie hasło: „Padnij!” i wszyscy dookoła fuch na ziemię, a ta kobieta stoi taka wyglupiona, trzyma ręce do góry i nagle rozlega się taki dzwonek. Ona mówi: „Panowie, przecież to tylko budzik”. Okazało się, że po Warszawie, rzeczywiście była taka plotka, że będzie zamach na Kim Ir Sena i że zrobi to kobieta, więc oni, jak złapali kobietę z czymś, co tykało, kobiecina gdzieś tam wystąpiła, prawda, jakiś budzik, i reakcja była niesamowita kolejki, bo ludzie byli bardzo zdenerwowani i to był taki wybuch takiego histerycznego śmiechu, ludzie zaczęli się okropnie śmiać, i dlatego, że się ludzie zaczęli śmiać, to ja nie wiem, czy te osoby, które widziały, o co chodzi, stały najbliżej tej kobiety, to było tak: przechodzić, przechodzić, przechodzić, i my przeszliśmy, oni nas nie przeszukali. I wyszliśmy do tego holu głównego i wtedy, myślę, że to adrenalina, tak? Gwałtowny spadek adrenaliny, mi się zrobiło po prostu słabo, i wtedy podszedł do mnie jakiś litościwy zomowiec i pyta mnie: „Czy pani się dobrze czuje? Może ja pani pomogę przenieść tę torbę?” i zomowiec zaniósł mi torbę, tę właśnie torbę z diapozytywami, torbę pełną bibuły, zaniósł mi na peron. Wsiedliśmy do pociągu, już nie patrzyliśmy wtedy, dokąd ten pociąg jedzie - okazało się, że... nie pamiętam, dokąd pociąg jechał, ale dojechaliśmy do Warszawy Wschodniej i tam się przesiedliśmy w pociąg, który jechał do Bydgoszczy i wróciliśmy do Bydgoszczy.

Niesamowita historia. Proszę jeszcze powiedzieć, co to są diapozytywy?

Co to są diapozytywy, jak wytłumaczyć komuś, co to są diapozytywy? Ktoś, kto nigdy nie...

Tak, kto nigdy nie widział i nie [niezrozumiałe 01:03:33].

Tak, no to jest na kliszach przy pomocy emulsji, zrobione takie matryce, które po prostu służą do drukowania, tak?

To proszę powiedzieć, ile pani tych diapozytywów, był jeden diapoztyw czy więcej? Żebyśmy mieli takie wyobrażenie, jak ta przesyłka wyglądała.

To nie było duże, bo to nie chodziło o ilość, bo my nie przewoziliśmy „Tygodników Wojennych”, bo idea była taka, która później została powtórzona w pewnym sensie przez „Gazetę Wyborczą”. To było tak, że była część gazety, redakcja, która była redagowana w Warszawie, ona też była drukowana w Warszawie, ale oprócz tego były przygotowywane właśnie owe diapozytywy, czyli matryce, które umożliwiały wydruk dowolnej ilości egzemplarzy, po którą

się zjawiali kurierzy z różnych stron, z różnych miast w Polsce, zabierali ją do siebie i na miejscu były dorabiane tak zwane lokalne strony i w ten sposób powstawały lokalne edycje „Tygodnika Wojennego”, tak samo jak lokalne strony „Gazety Wyborczej”, tak?

Dobrze. Dlaczego Kawiarnia Wilanowska?

Nie wiem. Taki dostaliśmy kontakt.

A pamięta pani, jak ona wyglądała?

Teraz to już tam w ogóle nie ma kawiarni.

Nie ma, wiem.

Przez długi czas jeszcze była kawiarnia, ja już wtedy mieszkałam w Warszawie i któregoś razu weszłam do tej kawiarni, usiadłam przy stoliku, właśnie przy tym samym stoliku, przy którym zwykle siadaliśmy, przyszła do mnie pani kelnerka i ja wtedy poprosiłam o ciasteczko ponczowe. Pani po prostu popatrzyła na mnie i mówi: „Tu nie ma takich ciastek. Tu nigdy ich nie było”, i to było takie zabawne. Ja wtedy zapytałam: „A jak długo pani tu pracuje?”, mówi: „No, już z pół roku”. W każdym razie do Kawiarni Wilanowskiej przychodził albo Mateusz Wyrwich albo przychodzili oboje, przychodził Mateusz z Joanną, z żoną. Bardzo często wykorzystywany był ten układ kobieta-mężczyzna, to dawało jakieś możliwości, zawsze można było coś poudawać, tak? Facet, który siedzi przez parę godzin na przykład sam w kawiarni, jest o wiele mniej podejrzany niż para, która siedzi i się migdali, tak? Po prostu.

Czy [były] jakieś inne trudności z przewożeniem przesyłek do Bydgoszczy? Czy coś pani zapamiętała, jakieś niebezpieczne nawet momenty?

Może nie, to nie było niebezpieczne - to było po prostu potwornie męczące, dlatego że myśmy przecież przyjeżdżali, to nie było tak. Ja właśnie teraz już nie pamiętam, wydaje mi się, że to musiał być dzień wolny, bo przecież ja musiałam zdążyć wrócić do pracy. Gdybym nie zdążyła wrócić do pracy to wszyscy by wiedzieli, tak? Tak że to na pewno też wiązało się z podróżowaniem nocą, to było bardzo męczące. Ja wiem, że tutaj nam w Warszawie ciągle obiecywano, że zostanie dla nas wreszcie zrobione jakieś mieszkanie kontaktowe, takie bezpieczne, że będziemy mogli tam zwyczajnie poczekać, a nie łązić po Warszawie z tą torbą pełną bibuły, i właśnie dlatego zaczęliśmy chodzić do kina, dlatego że nie mieliśmy co z sobą zrobić, to chodziliśmy do kina. To było po prostu męczące. Zdarzało się, że też jeździliśmy do Szczecina, to to już było po prostu kompletne szaleństwo, podróż pociągami do Szczecina, a do Szczecina dlatego, że Sławek Majewski był etatowym pracownikiem Komisji Krajowej Drukarzy przed stanem wojennym, a oni swoją siedzibę mieli w Szczecinie i on tam miał bardzo dobre kontakty, tak że sporadycznie żeśmy tam przekazywali też te diapozytywy „Tygodnika Wojennego” i tam w Szczecinie to naszym kontaktem był Wiesiek Szajko, no i Witkowsky, ale Witkowsky wszyscy wyjechali, więc...

Ta lokalna kujawsko-pomorska strona tego tygodnika?

Nie, to właśnie ta kujawsko-pomorska to była ta przez... Toruń robił, jak się potem okazało, robił tę edycję kujawsko-pomorską, a to chyba była bodajże bydgoska po prostu edycja.

Aha, bydgoska po prostu, tak?

Chyba tak, tak coś mi chodzi po głowie, że to chyba była po prostu bydgoska.

Czyli były dwie, tak?

Tak, tak.

Ten drugi kanał to kujawsko-pomorska?

Tak, tak.

To właśnie, to tak chciałem zapytać o tę bydgoską podstronę, bo pani miała udział w redagowaniu tej podstrony.

Naprawdę bym tego nie przeceniała, to były czasami jakieś drobne właśnie informacje właśnie dla Komisji Zakładowych - a ci wpłacili składki, a ci nie wpłacili, tak że nie, to tutaj jednak lepszym kontaktem na te informacje to jednak byłby Sławek Majewski.

Wspominała pani o represjach, w zasadzie od tego się zaczęło, to znaczy ten „Tygodnik Wojenny”. Czy może pani powiedzieć o okolicznościach pobicia przez tak zwanych nieznanymi sprawców?

To było naprawdę bardzo dziwne. To było bardzo dziwne, bo to była... To nie było tak, bo to nie jest sztuka, prawda, wysłać paru silnych facetów i pobić dziewczynę na ulicy, tak? Ale to było tak świetnie zorganizowane, że to świadczyło o tym, że jednak wydaje mi się, że oni myśleli, że ja wiem coś, co jest dla nich bardzo ważne, albo ja wiedziałam coś, tylko że ja nie wiedziałam, że to dla nich jest ważne, bo to naprawdę wymagało od nich bardzo drobiazgowych przygotowań. To było wszystko bardzo dobrze przemyślane. Ja wtedy mieszkałam u państwa Maciejewskich, Maciejewscy mieli dwoje małych dzieci. Dzieci chodziły do przedszkola, przedszkole mieściło się niedaleko mojego miejsca pracy, niedaleko muzeum, w którym ja pracowałam. Normalnie dzieci odbierał, zawoził do przedszkola Krzysztof, a ja te dzieci odbierałam. No to był taki naturalny [oddech] - oni mi pomagali, ja im pomagałam, tak? Ale tylko jeden dzień w tygodniu byłam bez dzieci, raz w tygodniu tych dzieci nie odbierałam. Już nie pamiętam dlaczego, ale właśnie robił to ojciec, a nie ja, i to właśnie był ten dzień, ja nie miałam przy sobie dzieci. Normalnie ludzie kończą pracę gdzieś tak o godzinie właśnie piętnastej-szesnastej, tak? Ponieważ ja pracowałam w pracowni konserwacji ceramiki, więc miałam do czynienia z chemikaliami i wtedy były takie przepisy, że był skrócony czas pracy, ja pracowałam do godziny czternastej. I zanim zajęłam na Bartodzieję, dzielnica Bydgoszczy, w której wtedy miesz-

kałam u Maciejewskich, no to było około godziny piętnastej, czyli to była taka godzina, gdzie naprawdę były totalnie puste ulice, dlatego że ludzie, którzy pracowali, szli do pracy na piętnastą, to już poszli, a ludzie, którzy pracowali do piętnastej, jeszcze nie przyszli. Było to przed wolną sobotą, więc potem się okazało, że nie było bez znaczenia. Ja po prostu wracałam autobusem, pamiętam, że było bardzo zimno, i w pewnym momencie wsiadł do tego autobusu młody człowiek. Ja go zapamiętałam tylko dlatego, że on miał gołą głowę, a było naprawdę zimno. Ja sobie pomyślałam: a, za parę lat będzie miał problemy. Dojechałam do swojego przystanku i to była pętla. Wsiadłam na tej pętli i ten człowiek też wysiadł, no ale to w końcu na pętli wszyscy wysiadają, tak? Więc to naprawdę nie było nic dziwnego. Wsiadłam, zaczęłam iść w kierunku domu, bloku, w którym mieszkałam, i zorientowałam się, że on idzie za mną - jeszcze nie byłam pewna, ale chciałam go przepuścić. No to też stary numer, tak? Klęka się, zaczyna się zawiązywać but, ale facet po prostu tak nade mną stanął, więc ja już wiedziałam, że to jest ogon, tylko ciągle jeszcze nie rozumiałam, o co chodzi. Wydawało mi się, że może oni jeszcze nie wiedzą, gdzie jest moje, że tak powiem, nowe miejsce pobytu, tak? Gdzie ja mieszkam, gdzie ja się zatrzymałam, bo przedtem wiedzieli najpierw, że w muzeum, to już spowodowali, że zostałam wyrzucona, potem mieszkałam u studentów, to już było też nieaktualne, mieszkałam u pani Leś - też już to było nieaktualne, wyniosłam się, no bo byłam za bardzo trefna, a tam się Solidarność Służby Zdrowia z kolei gromadziła, więc nie mogłam ich narażać na to, że przyprowadzę tam jakiś ogon, więc wymyśliłam sobie, że pójdę do domu, nawet bez względu na to, czy oni odkryją, gdzie ja mieszkam, bo... Nie, przepraszam. Początkowo wymyśliłam sobie, że minę blok i pójdę dalej prosto. To było na krawędzi osiedla, to był przedostatni blok i za tym się już rozciągał plac budowy, i w pewnym momencie, kiedy ja mijalam ten swój blok, naprzeciwko mnie wyszła brygada budowlana. To chyba było trzech albo czterech facetów, oni wtedy nosili takie kufajki z taką charakterystyczną literką „B”, tak? Zwykła brygada budowlana, nawet chyba jeden czy dwóch miało kaski, co wtedy nie było tak na porządku dziennym. I w momencie, kiedy ja się zrównałam z nimi, znaczy ja nawet jak ich zobaczyłam, to przyspieszyłam, bo sobie wymyśliłam, że będę krzyczała, że ten facet mnie zaczepia. I kiedy ja podeszłam do nich, to oni nagle mnie po prostu otoczyli, a ten, który szedł, podskoczył do mnie, złapał mnie za rękę, wykręcił mi rękę, na plecy i już, i powiedzieli: „Idziemy” i zaczęli mnie prowadzić w kierunku bloku, czyli oni już wiedzieli, gdzie ja mieszkam. Więc wtedy mój pomysł był taki, że dobra, wejdę z nimi do mieszkania, tak? Po pierwsze, może uda mi się zatrzasknąć im drzwi przed nosem, tak? Bo zatrzaskowy zamek, a jeżeli nie, to będę udawała, że jestem bardzo przestraszona, że jestem bardzo grzeczna i nawet zrobię im herbatę. Chodziło o to, żeby dostała się do kuchni, bo mieliśmy ustawiony sygnał na kocioł - chodziło o przesunięcie firanki i przesunięcie kwiatu na oknie w kuchni, co można było zrobić naprawdę, robiąc herbatę, można to było po prostu zrobić, tak? I dlatego ja tak grzecznie z nimi pomaszerowałam do tego bloku. Weszliśmy na klatkę schodową i tam było wejście na klatkę schodową, to były cztery stopnie do góry, a tu było wejście do piwnicy. To wejście do piwnicy było zawsze zamknięte, wszyscy lokatorzy mieli swoje klucze, i w pewnym momencie jeden z nich położył rękę na klamce do piwnicy i ja już wiedziałam. Oczywiście piwnica tego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności była otwarta, i wtedy miałam taki moment, ja miałam przy sobie siatkę z zakupami, znaczy miałam mleko, miałam butelkę - wtedy mleko było w takiej dużej, szklanej butelce - i był taki moment, że nagle ja się znalazłam jak gdyby za plecami tego faceta i taki miałam moment, ale nie zdobyłam się na to, żeby uderzyć człowieka butelką w głowę, tak? Pewnie i tak by mnie złapali, ale taki miałam [moment], no ale nie zrobiłam tego. Oni sprowadzili mnie na dół do tej piwnicy i w zasadzie ten, który za mną szedł, po prostu od razu mnie tak fach! Od razu w twarz mnie uderzył, i któryś z tych budowlańców odezwał się na zasadzie: „Nie bij jej po twarzy, bo będą ślady”, i wtedy wyjęli z kieszeni taki pęk, to były rzemienie, może kable, ja nie wiem,

co to było, z powiązanymi takimi supułkami, i oni mi zadali tylko jedno pytanie: oni mnie pytali, gdzie jest „Książę”, a to był żart - właśnie jak pożyczaliśmy książki z Zarządu Regionu, między innymi wtedy czytaliśmy Machiavellego, tak? Były dyskusje na temat księcia, i Maciek Maciejewski, nie pamiętam, dlaczego już, kiedy poszedł do biblioteki, to bibliotekarka nie założyła mu karty na jego normalne nazwisko, tak jak wszystkim, tylko napisała „Książę”, tak że jak oni weszli do Zarządu Regionu, to oczywiście poszli do biblioteki, zgarnęli mnóstwo kart, gdzie mieli nazwiska, adresy, ale znaleźli jedną kartę, gdzie było napisane „Książę”. Oczywiście oni nie mieli zielonego pojęcia, że to chodzi o Maćka i myśleli, że to jest ktoś, no nie wiem, ktoś może bardzo ważny, może ktoś inny, tak? Bo przecież oni Maćka nawet zwinęli, ale potem go wypuścili, tak że oni nie mieli najbardziej fantastycznego pojęcia, kto to był, i oni mnie właśnie pytali, gdzie jest „Książę”. No i doszło do tego, że po prostu bałam się, to jest też taka technika, tak? Jak się boję, to będę bezczelna, to ja im powiedziałam, że o ile wiem, to Poniatowski utonął w Elsterze, i to właściwie już był koniec rozmowy, po prostu mnie sfukli i mnie zostawili w tej piwnicy, przy czym oczywiście gdyby chcieli, toby mnie bardziej sfukli, bo jeszcze powiedzieli mi, że jeszcze się spotkamy, czyli tak naprawdę to chodziło o to, żeby mnie trochę sfuk, a trochę przestraszyć i zapowiedzieć, że ciąg dalszy nastąpi, tak? No i ja się jakoś tam pozbierałam. W tej piwnicy ja w tym momencie po prostu zaszyłam się w taki róg, w taki narożnik i mimo tego, że jednak to było kilku facetów, tak? To ja tak się tam zaszyłam, że po prostu ja stałam tylko bokiem i w związku z tym oni złali mi tylko [jeden bok] i właśnie dlatego odbili mi tę jedną nerkę, tak? Bo po prostu lali mnie, ja byłam zbita tu, po tej stronie, tak? Lali mnie właśnie tymi rzemieniami z tymi supułkami, nie wiem, co to było takiego. Poszli sobie, ja tam zostałam. Po jakimś czasie tam się pozbierałam i wróciłam do domu. Otworzyłam sobie sama jeszcze mieszkanie, pamiętam, że zdjęłam płaszcz, ale już zostawiłam ten płaszcz, po prostu rzuciłam na podłogę i poszłam do swojego pokoju, coś tam z siebie jeszcze zdjęłam i też to zrzuciłam na podłogę i po prostu zemdlałam. I jak Maciejewscy wrócili do domu, to nagle zobaczyli, że leży mój płaszcz na podłodze, coś tam jeszcze z garderoby leży - no raczej nie miałam takiego zwyczaju, żeby chodzić po mieszkaniu, rozbierać się i rzucać po prostu garderobę, no i Krzysiek właśnie był z dziećmi, i dziecko weszło do łazienki, żeby umyć ręce i po prostu straszny krzyk, bo Łukasz zobaczył, że cała umywalka jest [we krwi], bo oni też mi rozbili łuk brwiowy, a łuk brwiowy bardzo krwawi, tak? Więc ta umywalka była cała po prostu zachlapana, no i wtedy oni wpadli do mojego pokoju, no i znaleźli mnie na podłodze. O tym, że to wszystko było bardzo dobrze przemyślane świadczy fakt, że... Oczywiście próbowali wezwać pogotowie, pogotowie owszem, przyjechało, ale oczywiście absolutnie nie chcieli napisać, że to jest pobicie - powiedzieli, że skąd oni mogą wiedzieć, że oni mogą mi tylko napisać, że to jest ogólne potłuczenie, tak? Jest zima i mamy ogólne potłuczenie - no, szła baba, wywaliła się na chodniku, no i wszystko, tak? Absolutnie nie chcieli mi wpisać [pobicia]. No więc pogotowie tam pojechało, Maciejewscy się uparli, że zawiadomią również milicję, zawiadomili również milicję. Przyjechała milicja. Przyjechał sobie jakiś taki Bogu ducha winny pan posterunkowy z najbliższego posterunku, no i bardzo pracowicie tam zbierał ode mnie te zeznania do momentu, dopóki nie zapytał mnie, czy ja mam jakieś podejrzenia, więc ja powiedziałam: „Tak, uważam, że zrobiła to Służba Bezpieczeństwa”, i powiedziałam tak nie bez powodu. Dlatego że kiedy zostałam pierwszy raz zatrzymana 16 grudnia, z pracy zabrana do siedziby SB na Poniatowskiego, to wtedy kiedy mnie wypuścili, kiedy ja wychodziłam, to ja na korytarzu spotkałam ekipę budowlaną, a ja to skojarzyłam dopiero później i ja myślę, że to było wszystko zrobione po to, żeby mnie przestraszyć, tak? Żebym ja później, nie wiem, może to był przypadek, może to nie był przypadek, ale ja to skojarzyłam, że ja widziałam taką ekipę, właśnie widziałam tam, na Poniatowskiego, bo przecież nie była to zwykła ekipa budowlana, tak? To byli po prostu [przebrani], więc to naprawdę była taka maskarada. Czyli oni musieli sprawdzić, którego dnia jestem bez

dzieci, musieli dorobić klucze od piwnicy, musieli sobie tę piwnicę odtworzyć, musieli ustalić, gdzie ja mieszkam, no i musieli jeszcze zorganizować brygadę budowlaną, więc to był spektakl godny Bujaka, a ja przecież byłam zwykłym sobie szeregowym członkiem Solidarności i naprawdę nie warto się było tak dla mnie męczyć. Tak że to było takie... No i ponieważ to było przed wolną sobotą, okazało się, że właściwie w żadnej przychodni nie można znaleźć lekarza, przychodnie nie działają, tak że obdukcję lekarską udało się zrobić dopiero kilka dni po tym pobiciu, co może wcale nawet nie było złe, bo wtedy dopiero wychodzą siniaki, tak? Ja naprawdę wyglądałam koszmarnie. Ja myślę, że ta obdukcja jeszcze jest, bo ja jej nigdy nie odebrałam. Znaczą, ja tę obdukcję dostałam i ta obdukcja została schowana, ta obdukcja została zdeponowana przez Wieszkę Kiełpińską u ojca Chabielskiego w Kościele Jezuitów w Bydgoszczy, i taki był moment, że ja zastanawiałam się, czy nie powinnam się tam zgłosić i próbować jej odebrać, ale w końcu tego nie zrobiłam. No i cóż, trochę mnie poobijali, więc miałam tam kilka dni zwolnienia, w taki sposób w zasadzie minął mi cały luty. W marcu zaczęliśmy się szykować do właśnie rocznicy marcowej, no i były te zatrzymania, no i 7 kwietnia ja z kolei zostałam aresztowana, no i znowu kilka miesięcy byłam wyautowana i jak wróciłam, no to trafiłam do Akademii Medycznej, no i tak to wyglądało. W Akademii Medycznej spędziłam najpierw sześć miesięcy, potem jeszcze miesiąc. Ależ oczywiście, byłam bardzo przyzwoitą i porządną kryminalistką, bo zarzuty zawsze starali się, żeby były kryminalne. To wszystko się tak zaczęło, że właśnie tego bodajże 19 [marca], w każdym razie w marcu u Maciejewskich też było bardzo drobne przeszukanie. Też nie było to pozbawione pewnych elementów, powiedziałabym, komicznych, bo obudziło nas walenie do drzwi, oczywiście drzwi otworzył gospodarz, bo już było po szóstej. Drzwi otworzył gospodarz, ja byłam u siebie w pokoju, ciągle leżałam w łóżku i po prostu drzwi otworzyły, wszedł jakiś żołnierz i właśnie lufą, spluwą mnie tam zaczął szturchać, więc ja wstałam i poszłam do łazienki, w piżamie poszłam do łazienki, a pan za mną. Ja mówię: „Ja będę brała prysznic, jak pan ma ochotę - proszę bardzo, ale niech pan to zostawi za drzwiami, bo panu po prostu się pomoczy” - chodziło mi po prostu o broń, a facet na mnie patrzy i śmiertelnie poważnie pyta mnie, gdzie są mikrofilmy. No więc ja niewiele myśląc, poleciałam sobie tekstem „Stawki większej niż życie”: „Mikrofilmy są, wiadomo, w puderniczce”, a facet na to otwiera szafkę z kosmetykami, wywala wszystkie kosmetyki na podłogę i po prostu szuka puderniczki, oni to naprawdę potraktowali poważnie. Przeszukanie trwało wiele godzin, naprawdę, oni wywalali na podłogę, nie wiem, mąkę, cukier - to wtedy były naprawdę artykuły trudne do zdobycia - wszystkie zapasy zostały zdemolowane; przekopywali kwiatki w doniczkach, szukali wiele godzin. Oczywiście tam znaleźli, zawsze coś można znaleźć, tak? Znaleźli trochę jakichś ulotek i skończyło się to w taki sposób, że wyprowadzili Maciejewskiego, zabrali Krzyska Maciejewskiego i mnie też zabrali, tylko że też nie wiem, czy to był przypadek, czy to tak miało być - nie wiem - Krzysiek wsiadł pierwszy do tego samochodu, i nagle okazało się, że nie ma miejsca, dla mnie już nie ma miejsca, musiałabym któremuś z tych żołnierzy po prostu usiąść na kolanach. I kiedy oni zdecydowali, że zostanie ze mną jeden żołnierz, ten samochód odjechał i w tym momencie, kiedy ten samochód odjeżdżał, po prostu nagle się rozległ taki straszny krzyk dzieci - Łukasz wtedy miał cztery lata, Agnieszka miała wtedy pięć lat - więc ja już po prostu nie zważając na tego żołnierza, w tył zwrot i biegiem do domu, żołnierz za mną, tak? Okazało się, że leży na podłodze nieprzytomna Irena. Wezwaliśmy pogotowie, przyjechało pogotowie i zabrało Irenę, no i teraz nagle zrobiła się sytuacja, że tutaj mamy dwoje dzieci, płaczą, jestem ja i jest ten żołnierz, który w zasadzie nie bardzo wie, co ma z sobą zrobić, on chyba się jakoś tam komunikował ze swoimi przełożonymi, nie wiem, już tego nie pamiętam, no w każdym razie po pewnym czasie żołnierz po prostu sobie poszedł - mówiąc krótko, zostawili mnie. No i okazało się, Irena została zabrana do szpitala, Krzysiek został zabrany, ja wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w tym samym czasie został też zatrzymany Maciek Maciejewski, o czym

nie mieli zielonego pojęcia, że to właśnie jest ten „Księżę”, którego tak właśnie szukali i została zatrzymana Magda Leś, został zatrzymany Rafał Budzbon i chyba został zatrzymany Stefan Litewka. No, to byli z tej grupy takiej właśnie tych młodzieżowych. Po czterdziestu ośmiu godzinach wypuszczono Maćka, sankcję dostał Krzysiek Maciejewski, sankcję dostał Rafał, sankcję dostała Magda i sankcję dostał Stefan Litewka. Irena została zatrzymana w szpitalu - okazało się, że jest w ciąży, o czym nie wiedziała, i została zatrzymana na patologii ciąży i wtedy zjawili się panowie zomowcy, którzy przez parę miesięcy stali pod drzwiami sali, w której przez wiele miesięcy leżała Irena. A ponieważ już wtedy były takie akcje, przynajmniej takie chodziły głosy, że dzieci były zabierane do domu dziecka pod pretekstem, że nie mają właściwej opieki, więc nagle pojawiło się zagrożenie, że Łukasz i Agnieszka wylądują w domu dziecka. Co prawda wtedy w Bydgoszczy mieszkała też mama Krzysztofa, czyli babcia tych dzieci, ale akurat był taki moment w jej życiu, że ona miała jakieś kłopoty z błędnikiem, z równowagą, ona naprawdę nie była w stanie zapewnić im po prostu żadnej opieki. Tak na rozum to przecież wiadomo było, że to jest tylko kwestia czasu, że po mnie przyjdą, tak? Ja po prostu powinnam się schować, ale ja wiedziałam, że jeżeli ja się schowam, to dzieci pójdą do domu dziecka, że jest potrzebne chociaż trochę tego czasu, żeby po prostu pozafatwiać różne rzeczy. Myślę, że to było dla Ireny okropne, bo ona, można powiedzieć, że w obecności świadków pisemnie, że tak powiem, zrzekła się tych dzieci, i nagle ja stałam się posiadaczką dwójki dzieci, jeszcze podpisała takie oświadczenie, że upoważnia mnie do reprezentowania, do występowania w jej imieniu we wszystkich sprawach związanych z aresztowaniem jej męża Krzysztofa, i to naprawdę był dla mnie chyba najbardziej koszmarne okres w moim życiu. Dwójka małych dzieci, które... Agnieszka przestała mówić, zaczęła się jękać strasznie, w ogóle praktycznie przestała mówić, Łukasz zaczął sikać po nocach, chociaż przedtem się nie moczył - no, czteroletnie dziecko. Ja mam pracę taką, jaką mam, tak? Więc oczywiście wzięłam urlop, ale w końcu urlop mi się skończył, bo miałam tylko kilka dni urlopu, musiałam w końcu wrócić do pracy, w międzyczasie biegałam po lekarzach z tymi dziećmi, starałam się zastanowić, co tutaj zrobimy na przyszłość, co z tymi dziećmi się stanie, no i sankcje dostało kilkoro tych młodych ludzi, za których ja się czułam odpowiedzialna, to ja byłam rzecznikiem tego środowiska. Oczywiście niektórzy rodzice mieli do mnie pretensje, że ja ich wciągnęłam, tak? To ja ich wciągnęłam. Wtedy jeszcze nie było tak dobrze zorganizowanych komitetów tych prymasowskich, więc naprawdę ja nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko, jak wtedy, bo tu miałam na głowie dom, dzieci, praca, spotykałam się z rodzicami tych aresztowanych, biegałam do adwokatów, rozmawiałam z adwokatami, biegałam do prokuratury, wyklócałam się o paczki, talony na paczki, listy, widzenia, jeździłam do Inowrocławia, gdzie siedział właśnie Krzysiek i Rafał, no i zdawałam sobie sprawę, że naprawdę to nie był przyjemny dla mnie okres, dlatego że właśnie ci rodzice mieli do mnie pretensje, tak? I jednocześnie to było dla mnie takie dziwne, że oni mnie nie zabrali. I potem, kiedy nagle okazało się, że ktoś z tego środowiska naszego, już nie pamiętam, kto to był, był przesłuchiwany - tak, o, zgarnięty i przesłuchiwany, taka próba zwykła - i pojawił się argument, że pan Budzbon siedzi, pani Leś siedzi, Maciejewski siedzi, no bo oni są uparci, nic nie mówią, ale pani Urban widocznie nie jest taka uparta, bo jest na wolności, i ja wtedy zrozumiałam, że choćby nie wiem co, to ja po prostu muszę się dać złapać, bo inaczej ja po prostu będę wyizolowana w środowisku, tak? No i to też był powód, dla którego nie zdecydowałam się, żeby, no nie wiem, gdzieś tam dzieci przekazać i mówiąc krótko, zejść już zupełnie do podziemia, po prostu wiedziałam, że trochę nie mam innego wyjścia, jednak byłam rzecznikiem tego środowiska i nie mogłam sobie na to pozwolić, że moje małolatki siedzą, a na mój temat krążą dziwne wieści. I kiedy któregoś razu przyszedłam do pani Leś i zobaczyłam list od Magdy i zobaczyłam, że jest odklejony znaczek, no to już wiedziałam, co zrobić. Spotkałam się jeszcze z Waldkiem Krakowiakiem, to był kolega Stefana, i my wcześniej żeśmy się umawiali, na początku jeszcze

stanu wojennego, że w razie aresztowania oczywiście odmawiamy zeznań, tak? Najbardziej się baliśmy sytuacji świadka, bo świadek, prawda, może odmówić zeznań tylko wtedy, kiedy zagrażają jemu albo osobie bliskiej i nie każdy był zdolny, żeby pójść tak w zaparte, tak? Żeby po prostu mówić, że albo on nie wie albo nie pamięta, bo niewiedza i niepamięć, nie można kogoś [za to] karać, za kłamstwo już można, za fałszywe zeznania można, tak? Więc wtedy trzeba było po prostu najzwyczajniej w świecie bezczelnie się zapierać - pokazują człowiekowi zdjęcie sąsiada, którego on zna od, prawda, piętnastu lat, a człowiek mówi: „O ile sobie przypominam, to nie jestem pewien, ale chyba nie pamiętam”, tak? Nie wszyscy [to potrafili]. Tego nas też uczył Kuroń, tego nas uczył Kuroń, żeby po prostu, tak jak starzy kryminaliści mówili: „Idź w zaparte. Jak cię złapią za rękę, to mów, że to nie twoja ręka”, ale naprawdę nie każdy potrafił się na coś takiego zdobyć, tak? Bo każdy [myślał]: „No Boże, no ale co oni sobie o mnie pomyślą? Jak ja mogę mówić, że nie znam - prawda - że nie znam kogoś, z kim siedziałem w jednej ławce przez ileś tam lat w szkole?”. I my wtedy żeśmy się umówili, że będziemy odmawiali składania zeznań i ja wtedy powiedziałam Waldkowi Krakowiakowi, że ja jak będę pisała do Rafała - pisałam i do Rafała i do Krzysztofa - to przypomnę im, żeby odmawiali zeznań, i napisałam na kopercie: „Odmawiaj zeznań”, nakleiłam znaczek i wysłałam, ale wcześniej widziałam ten odklejony znaczek u Magdy w domu, tak że to dla mnie było jasne, że to już jest naprawdę tylko kwestia czasu. Nie czekałam jakoś bardzo długo, tak? Bo ich zamknęli w marcu, a mnie zamknęli w kwietniu.

Osiemdziesiątego drugiego, tak?

No tak, stan wojenny rozpoczął się w grudniu osiemdziesiątego pierwszego, to jak kwiecień to musiał być osiemdziesiąty drugi. Pamiętam, że to było tuż przed świętami Wielkiej Nocy, tak to chyba jakoś było, Wielki Czwartek albo Wielki Piątek, w Wielkim Tygodniu w każdym razie. Przyszli do mnie do pracy i zabrali mnie z pracy, to było wojsko, WSW dokładnie rzecz biorąc - to też bardzo dziwne, prawda? Kobieta, cywil, WSW przychodzi. No dobra. Ale zachowywali się zupełnie przyzwoicie, ponieważ miałam przy sobie... to znaczy po pierwsze, pozwolili zadzwonić mi do przedszkola, bo przecież były dzieci - ja już [dla] tych dzieci miałam zorganizowaną opiekę wcześniej, więc ja po prostu zadzwoniłam do tych przedszkolank, powiedziałam, że proszę odwieźć dzieci tu i tu, podałam adres, bo ja dzieci nie mogę odebrać. Pani na początku mówi: „Jak to, pani dzieci nie odbierze z przedszkola?”. „No nie mogę dzieci odebrać. Proszę zrobić tak, jak było uzgodnione”. No i zabrali mnie, jeszcze po drodze wstąpili ze mną do mieszkania mamy Maciejewskich, czyli do babci tych dzieci, tylko po to, żebym ja im oddała klucze, żeby nie musieli wyłamywać drzwi do mieszkania, tak? No przecież dzieci gdzieś musiały mieszkać. Matka w szpitalu, ojciec w pierdlu, jeszcze drzwi wyłamane, tak? Tak że... No i zawieźli mnie do prokuratury, oczywiście była to prokuratura garnizonowa, nie była to cywilna prokuratura, tylko prokuratura garnizonowa, i tutaj jest taki moment, którego ja tak naprawdę za dobrze nie pamiętam, to znaczy oni początkowo twierdzili, że ja jestem właśnie w charakterze świadka, no więc ja upierałam się, że odmawiam zeznań, bo to są dla mnie osoby bliskie, na to pan powiedział mi, że jak to, przecież pan Maciejewski jest żonaty, ja powiedziałam: „Ja wiem, ale my lubimy trójkąty”, no to to były takie, wie pan, takie różne gry, ale w końcu się prokurator zdenerwował i po prostu zapytał już mnie otwartym tekstem, czy będę zeznawała przeciwko Krzysztofowi Maciejewskiemu, więc ja powiedziałam, że nie będę zeznawała przeciwko Krzysztofowi Maciejewskiemu, no i wtedy się okazało, że właśnie jestem oskarżona o utrudnianie śledztwa. Chodziło oczywiście o ten znaczek, tak? I to mi tam formalnie odczytali. Wiem, że ja nie chciałam tego podpisać, natomiast wpiisałam tylko datę, bo to było bardzo ważne, bo też wiedziałam, że natychmiast należy robić awantury i się odwoływać,

tylko że jest na to określony czas, i na ogół oni robili coś takiego, że wpisywali inną datę, tak że już było po terminie i nie można było tego, dlatego ja wpisałam, to pamiętam, że było to 8 kwietnia. Wpisałam to 8 kwietnia i jednocześnie dostałam drugi kwit, na którym było, że wobec mnie toczy się postępowanie już w trybie właśnie doraźnym tam ze stosownych artykułów, i generalnie rzecz biorąc, zarzut polegał na tym, że zorganizowałam organizację, którą następnie kierowałam, która tam chciała zrobić różne okropne rzeczy naszemu ustrojowi, no i że właśnie był ten kontrwywiad, gdzie zbieraliśmy wiadomości o członkach Solidarności, podejrzanych o współpracę. No i zawieźli mnie do Fordonu.

A był proces, czy tylko to się odbyło...

Nigdy, nigdy się nie odbył proces.

<KONIEC NAGRANIA 01:39:03>